

Zarabia ten co słucha, ja zarabiałem na tym całe życie, to znaczy całe piętnaście lat mojej pracy w zawodzie psychiatry. Płaci ten co mówi. Czasem ja też mówiłem, myślałem, często długo co powiedzieć, zdarzało się, że zbyt długo. Jedna ucieczka wzrokiem w bok, stanowiła zagrożenie, szczególnie z borderline, ale reguła była jasna. Ten kto mówi więcej, więcej płaci. Setki głosów, w każdym miejscu, walczą ze sobą, chcą się nawzajem uciszyć, wciąż i wciąż. A ja zgadzałem się okazywać zainteresowanie tym głosem, czasem, nawet teraz, zgadzam się na to, ale już za darmo.

Decydująca chwila. Przyszła do mnie młoda dziewczyna, która wiedziała o tym, że jej koleżanka została zgwałcona. Tylko ona o tym wiedziała, ale targaly nią niesłychane wątpliwości. Wtedy czułem, podskórnie, chociaż to takie zużyte słowo, że ona czerpie z tego przyjemność. Z tej wiedzy, z tego, że może tę wiadomość komuś dalej przekazać, choćby policji (co obiecała, że zrobi) i co powinna zrobić od razu. Wstrętna wiadomość, przerażająca, ale i tak w innych wywoła tę samą emocję. Stwierdziłem, że biorę udział w rozpowszechnianiu infekcji, drogą powietrzną, infekcji słów, które szerzą się, rozsiewają jak cząsteczki wirusa grypy. Powiedziałem stop. Żona i dzieci, nie potrafisz ich słuchać, tak Piotrze, nie potrafisz, a oni, one - w moim przypadku, nie potrafią ci już nic powiedzieć, cisza, tylko proszenie, proszę tato, kup mi tato, tato, a czy mógłbyś mnie zawieźć, proszę, proszę, proszę. Wplątanie, infekcja, nóż, wyplątanie, przecięcie więzi. Kaszel, ale jakiś inny niż zwykle od palenia, promienie iks, jakaś zmiana, jakiś guz, ale milczę. Nowa praca, dwieście kilometrów od domu, mówię, że tymczasowo. Pretekst, jasne, całkiem dobry.

Obraz, ostatni w moim życiu. Dziewczyna sprzedająca kwiaty na przeciwko mojego domu, mojego tymczasowego domu. Nie ma w sobie nic strasznego, żadnej grozy, samo piękno. Jest atrakcyjna, może mieć dwadzieścia kilka lat, jest sympatyczna, często uśmiecha się do mnie, sam nie wiem, może to tylko przypadek, jakiś toto - lotek naszych zagubionych oczu, ale ja często widzę jej uśmiech. Dzisiaj po raz pierwszy kupiłem u niej kwiaty, trzy lilie, sam nie wiem czemu lilie, jutro, tak, jutro kupię róże albo goździki. Ładnie skomponują się z obrazem. Dziewczyna w kwaciarni na obrazie, a obok kwiaty które u niej kupiłem. Dziewczyna i pies, jakiś uroczy owczarek, długie kasztanowe włosy, czarne buty na długich nogach. Chcę zmienić jej życie, chcę dodać do niego trochę grozy, życie z którego powstanie obraz.

Przeczuwałem tragedię. Płacz, moje słowa: "Cicho, powiedz mi, uspokój się, wszystko będzie dobrze". Mój wilgotny kark, jej brak spokoju, są rzeczy których nie da się wytłumaczyć. Stały na przystanku z naszym psem i samochód tak po prostu i nie da rady, są takie smutki, takie, których nie potrafisz sobie sam obiektywnie przedstawić. Racjonalnie wytłumaczyć, i nic nie dadzą twoje, ani innych słowa, nic nie da prątkowaniem, zarażanie, infekowanie świata, jesteś przegrany, skazany na śmierć.

Spełniłem jej prośbę, dostosowałem się, odszedłem, ale już na zawsze. Przyjechałem tylko na pogrzeb. Potem usunąłem się z jej życia. Była w ciąży, dowiedziałem się o tym później, gdy już było widać, ktoś mi przekazał, zaraził mimochodem informacją. Nie potrafiła ze mną być, nie wiedziała jak, nie powiedziałem jej o chorobie, nie chciałem, nic by to nie zmieniło. Zostawiłem jej psa, powiedziała, że kulawego biedaka uśpi. Czy zrzucała na mnie winę? Czy wina rzeczywiście leżała po mojej stronie, czy to tylko wina kierowcy? Gdybym był na miejscu, pewnie mógłbym je odebrać od koleżanki, nie musiały by czekać na autobus. To jasne, ale tu kończy się racjonalność.

Czy jestem tym kim byłem wtedy? Mężczyzną ożenionym z młodą kobietą, z dwójką małych dzieci, dwie dziewczynki. Czy mój obraz pasuje do rzeczy które zrobiłem? Zerwałem uprząż, opuściłem je, świadomie lub nie, załamanie, a może mój bunt przeciwko infekcji. Oddalenie, samotność, wiele obudzonych upiorów.

Ukryta pod parasolem kobieta ma spódniczkę, kuca żeby pogłaskać psa, dostrzegam szybko błysk jej uda. Włosy ma długie, lśniące, kasztanowe? Nie, to nie kasztan, to jakiś głęboki brąz. Potencjalność, tajemnica. Nie mogę dojrzeć jej twarzy, jest za daleko. Jestem już w domu, po dłuższej chwili dzwonek do drzwi. To tamta dziewczyna z kwaciarni. "Dzień dobry, to ja, może mnie pan wpuścić? Chcę porozmawiać, zajmę chwilę" - znów ten miły, kobiecy głos. Zdejmuje płaszcz, podaje mi parasol. Pies mnie poznaje, choć miałem go tylko przez trzydzieści minut, zanim podrzuciłem go wczoraj przed kwaciarnie i przywiązałem smycz do drzwi. Ma ona ciało radosne i jędrne. Oczy duże i płochliwe, teraz widzę to lepiej niż podczas tych przelotnych wizyt w kwaciarni. Łucja, tak ma na imię. Siada w przedpokoju, zakłada nogę na nogę, dostrzegam dokładnie jej rajstopy, przydymione, zarysowuje się w nich oczko, wysoko, tuż przy granicy sukienki, tam gdzie oba jej uda tworzą całość. Jest przemoczona, drżąca, podaje jej włochaty koc, który zarzuca sobie na plecy. Teraz nogi ma bardzo odsłonięte, nieprzyzwoicie, musi być tego świadoma. Musiała iść jakieś sto metrów za moimi plecami, zastanawiać się co powiedzieć, jakiego prosię użyć, jaką sprzedać mi infekcję. Wreszcie zostawić swoje wątpliwości na dworze, pozbyć się ich gdy przekroczyła mój próg. Nie widzę psa, czy ona rzeczywiście z nim tu przyszła? Czy nawet jej go nie dawałem, jak chciałem wczoraj zrobić. Wyciągnęła się na kanapie, wyprostowała szyję, znów zmieniła ułożenie nóg, ruch, pod jego wpływem oczko coraz wyżej, coraz więcej widzę, kawałek uda, przyjemny kolor skóry, zanim sekwens zarumienienia na policzku, na szyi i niżej. Jej papieros, błysk oka, odruchowy skurcz kącika ust - odpowiedź. Moja pożądlivość w słodkawym, mdłym powietrzu. Pocałunek w szyję, potem usta, młodość, miłość. Życie.

Supermarket. Młoda kobieta koczuje przy wejściu, młoda i na pewno nie Polka. Ukrainka, Białorusinka, nie wiem, być może Rumunka. Ma dwoje dzieci, dwie dziewczynki, jedna bardzo mała, pewnie trzyletnia, druga starsza, około dziesięciu lat. Ta starsza często gładzi swoją mamę po policzku, jakby próbowała ją ciągle pocieszać, przekazywać jej miłość. Zwykle daje im kilka monet, jakieś drobne, które zostają mi z sobotnich zakupów. Zawsze jest taka wdzięczna, zawsze uśmiecha się gdy mnie widzi - ona ta starsza.

Przecinek w myśleniu. Zmarli, mówią do nas tylko w snach, ale czy to takie pewne?

Dwie dziewczynki i beznogi pies.

Łucja często wychodzi, zmieniła pracę, pomogłem jej w otworzeniu dużej kwaciarni. Minęło pięć lat, mój nowotwór rozsiał się ostatecznie, bywa, że ciężko mi otworzyć oczy z rana, ale coś jednak trzyma mnie przy życiu. Jakiś niejasny stan umysłu, trans, może wariacja. I czasem tak mam, tak jak teraz, że to powraca, jakaś niewidoczna substancja. Nieustępliwa, a ja walczę z nią i nie mogę się wyrwać. Wyciągam obraz z szafy, ten który namalowałem pięć lat temu, jest na nim kobieta w kasztanowych włosach, kobieta w ciąży, a obok niej dwie dziewczynki i pies bez nogi. Czoło przecina mi się przez fałdę, wyjmuję z szafki nóż, tasak, najgrubszy.

Ukrainka, cieszy się gdy mnie widzi, dostrzegam to wyraźnie za każdym razem. Nie mam usprawiedliwienia. A ona oczekuje coraz więcej. Mówi łamaną polszczyzną, że jej córka ma dzisiaj urodziny. Więc ja idę szybkim krokiem do piekarni, drogiej, jednej z najlepszych w mieście, i zabieram ze sobą starszą dziewczynkę, która wskazuje mi palcem na co dobrego ma dzisiaj największą ochotę. Kupuję dwie duże babeczki i torcik z ośmioma świeczkami. Dziewczynka wyczekuje na mnie, ma olbrzymie oczy, nie mam siły, by zostawić je tutaj, z tym tortem, w dzień ich urodzin, same na ulicy. Szybka kalkulacja, czwartek, Łucja cały dzień w pracy, to pewne, dzieci w przedszkolu. Ukrainka opiera się chwilę, ale jednak się godzi. W domu dostrzegam, że jest ładna, nie miałem wcześniej czasu, by dokładniej się przyjrzeć, ma zielone oczy, ładne brązowe włosy. Napuszczam wannę gorącej wody i zapraszam je do łazienki. Myją się, wszystkie razem, jej córkom daję ubrania moich dziewczynek, a matce dwie pary spodni Łucji i jakieś nowe koszulki, bieliznę, której jeszcze nawet nie rozpakowała. Zanim dzieci zjedzą słodkości to najpierw robię im obiad, zostają jeszcze dwie godziny. W przypiływie uczuć daję jej swój numer, dzień później wynajmuje im mieszkanie, całość opłacam, dwie ulice dalej.

Pies. Czy możliwe, że to ona obcięła mu nogę, naszemu biednemu? Wyobrazić sobie, że właśnie ona to robi, tnie naszemu psu łapę. Piękna, radosna dziewczyna, moja żona, tnąca piłką, nie wiem, może jakąś cholerną siekierą albo tasakiem, nogę. Czy to możliwe? I jeszcze czerpiąca z tego radość, uśmiechająca się na ten widok. Może nawet masturbująca się przy tym. Nie, koniec, stop. Musiałem go puścić na dwór przez przypadek, co? Nie wiem po co, nie wiem. Naprawdę, przepraszam Łucja, tak, do weterynarza, tak już, to tylko moja. Przepraszam.

Nagie serce. Walentynki, wszędzie serca, dużo śniegu. Strach dodaje mi sił, dziewczynki w szkole muzycznej. Ciężka popielniczka może zabić, może zabić wazon, nóż do papieru. Zapomniałem dodać jednego szczegółu, krwi, która cieknie z serca dziewczyny na obrazie. Pięknej, karmazynowej, przebijam czymś ciało, które wcześniej pożałowałem. Nagość pulsującego serca. Uderza mnie w policzek, w ostatnim momencie, w ostatniej chwili jej znużenia, które teraz już wypełza na twarz. Piecze mnie, lewy, smak krwi w ustach, zabieram obraz, koniuszkiem języka czuję, że mam rozcięte wnętrze policzka, że krwawię. Połykam krew, gdy wychodzę wymiotuję na śnieg. Obraz skończony. Wracam do Katji, wczoraj powiedziała mi, że jest w ciąży, że to początek, że kiepsko się jeszcze czuje, ale dzisiaj ma zrobić coś dobrego do jedzenia. A ja wieczorem wychodzę, muszę być najedzony, moje córki kończą szkołę po osiemnastej, a przecież muszę jeszcze wynająć samochód.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

jeden, dodano 17.02.2018 11:58

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.